

(NIE) PATRZ W GÓRĘ.

REALNE PROBLEMY AMERYKANÓW I ODREALNIENIE  
AMERYKAŃSKICH MEDIÓW

Charlie LeDuff: *Shitshow! Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje*,  
przeł. Kaja Gucio. Wydawnictwo Czarne. Wołowiec 2021, s. 272.

Podczas rutynowej obserwacji przestrzeni kosmicznej dwójka astronomów z uniwersytetu stanowego w Michigan odkrywa, że w kierunku Ziemi zbliża się niezidentyfikowana dotąd asteroida. Drobiazgowo obliczenia matematyczne potwierdzają, że za niespełna pół roku z ogromną siłą uderzy w Pacyfik, wywołując tsunami, które w nieunikniony sposób doprowadzi do zagłady ludzkości. Zaalarmowawszy NASA, naukowcy trafiają do Białego Domu, gdzie zostają zlekceważeni przez sztab urzędującej Prezydentki, pochłonięty utrzymaniem większości w Kongresie podczas zbliżających się *midterm elections* i skandalem obyczajowym z udziałem nominata do Sądu Najwyższego. Zdesperowani astronomowie postanawiają podzielić się swoim odkryciem z przedstawicielami mediów – występują w popularnym programie telewizyjnym, ale jego gospodarze nie traktują poważnie apokaliptycznej wizji, są nieprzygotowani do rozmowy o faktach naukowych i obracają w żart niemal każde zdanie na temat zbliżającej się katastrofy, w myśl zasady: „keep the bad news light”. Na wieść o nadciągającym zagrożeniu internauci reagują wysypem memów i falą hejtu.

Gdy faworyzowani przez administrację rządową badacze potwierdzają odkrycie sygnalistów, a notowania głowy państwa spadają, sprawa asteroidy zyskuje status wagi państwowej – zmiana trajektorii jej lotu staje się taktyką odbudowy poparcia politycznego. Skorumpowani decydenci, pozostający pod wpływem potentata technologicznego, który dostrzega w nadlatującej kometcie eksploatacyjny potencjał, wbrew wszelkim racjonalnym przesłankom wycofują się jednak z planu misji ratunkowej i publicznie deprecjonują skalę nadciągającej katastrofy. Tymczasem kometa staje się dostrzegalna gołym okiem, czego wyrazem jest zasypujący media społecznościowe trend „just look up”. Promujący go astronomowie padają ofiarą populistycznej retoryki, a przedstawiciele establishmentu lansują opozycyjne hasło: „don't look up”, wmawiając wyborcom, że naukowcy patrzą na nich z góry i chcą, by żyli w ciągłym strachu. Kiedy pierwsi starają się zmobilizować opinię publiczną do wsparcia międzynarodowej akcji ratunkowej (organizując charytatywny koncert

i angażując hollywoodzkie gwiazdy), drudzy za wszelką cenę dążą do realizacji „wizjonerskiego” planu pozyskania cennych surowców. Pionierska misja ponosi jednak fiasko, a asteroida zgodnie z przewidywaniami uderza w Ziemię u wybrzeży Chile, wywołując śmiertcionośne tsunami.

To nie streszczenie omawianego reportażu Charliego LeDuffa, ale fabuła głośno komentowanego filmu *Don't Look Up* w reżyserii Adama McKaya (USA 2021). Trudno jednak powstrzymać się od skojarzeń z hitem Netflixa, czytając relacje nieprzebiegającego w słowach, ekscentrycznego dziennikarza, który wraz z ekipą telewizyjną rusza w podróż po Stanach Zjednoczonych i przedstawia sylwetki ludzi, którzy przebudzili się z amerykańskiego snu. Choć najbardziej czytelnym kontekstem dla interpretacji filmowej fabuły jest zbliżająca się katastrofa klimatyczna (alarmujący świat astronomowie stali się metonimią środowiska naukowego, a postać krzyczącej o opamiętanie Kate Dibiasky do złudzenia przypomina szwedzką aktywistkę klimatyczną Gretę Thunberg), metaforę pędzącej komety można odnieść także do długotrwałych problemów społecznych, trapiących współczesne demokracje – wzrostu nierówności, stagnacji wynagrodzeń i pełzającego kryzysu ekonomicznego (w 2018 roku elity ekonomiczne i polityczne również ignorowały wszelkie sygnały ostrzegawcze, tak długo, aż doszło do krachu na światowych rynkach).

Recenzując satyrę McKaya, Jakub Majmurek zwraca uwagę, że bezpośrednio po premierze anglojęzyczna prasa zarzucała jej, że jest „tępa, zadowolona z siebie, oczywista, wysilona, nieśmieszna”<sup>1</sup>. Pojawiały się zarzuty, że twórcy filmu patrzą z góry na zwykłych Amerykanów, zwłaszcza na ogłupiony przez populistów, nieufający nauce „trumpowski lud”. Zarzuty te bardzo wyraźnie wybrzmiały także w polskiej lewicowej bańce medialnej. Powracały w niej opinie, że *Don't Look Up* prezentuje typowy punkt widzenia hollywoodzkich elit powiązanych z establishmentem Partii Demokratycznej, patrzących z pogardą na zwykłych ludzi, głęboko nieufnych wobec demokracji, przekonanych, że remedium na wszelkie kryzysy może być tylko bezwzględne zaufanie do ekspertów i „oświeconych elit”. Jak przekonuje Majmurek, nie jest to szczególnie trafny zarzut – współscenarzystą filmu jest bowiem dziennikarz i polityczny strateg David Sirota, główny doradca i autor przemówień Berniego Sandersa – jedyne amerykańskiego senatora socjalisty, ubiegającego się o nominację Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich w 2016 i 2020 roku. Sam McKay nie jest też typowym przedstawicielem hollywoodzkiego establishmentu – wielokrotnie wypowiadał się krytycznie o Demokratach, zarzucając im utratę kontaktu ze zwykłymi ludźmi. „W Stanach nie słychać w zasadzie głosu, zwłaszcza ze strony naszych polityków, który reprezentowałby ludzi pracy i biednych. W tej sytuacji te grupy zwracają się ku teoriom spiskowym albo Tea Party. Demokraci są bardzo niechętni, by rozmawiać z ludźmi pracy. Biden trochę uchylił drzwi, powiedział: «popieramy tworzenie związków zawodowych w Amazonie», po czym błyskawicznie je zamknął”<sup>2</sup> – mówił niedawno w „New York Times Magazine”, jakby cytując reportaż LeDuffa. W 2016 roku ludzie pracy i doświadczający ubóstwa zwrócili

1 J. Majmurek (2022). Gdzie góra, gdzie dół? *Polityka*, nr 3, s. 18.

2 Tamże, s. 19.

się w stronę Donalda Trumpa, który niczym filmowa Prezydentka Janie Orlean krzyczał ze sceny: „don't look up”, cynicznie wykorzystując społeczne frustracje i niechęć do faworyzowanej przez medialne elity Hillary Clinton.

Wbrew pozorom LeDuff nie koncentruje się na sylwetce „bombastycznego miliardera”, który po ośmiu latach prezydentury Baracka Obamy obiecał uczynić Amerykę ponownie wielką, ale oddaje głos „zwykłym ludziom” i przedstawia ich zmagania, bezradność i wściekłość „na tle sypiącego się kraju i życia”. Jego reportaż jest owocem trzyletniej podróży po Stanach (2013–2016), w czasie której zrozumiał, dlaczego Amerykanie ulegają retoryce Partii Herbacianej i są skłonni powierzyć władzę człowiekowi, który w oczach świata stał się podpalaczem liberalnej demokracji. Przygotowując materiały dla lokalnych ośrodków Fox News, LeDuff wraz ze swoimi operatorami relacjonował codzienność pracowników pól naftowych na obierzach Dakoty Północnej (koczujących na parkingach moteli) i fabryki Mercedesa w Alabamie (żywiących się upolowanymi wiewiórkami). Widział prawdziwe oblicze kryzysu migracyjnego wzdłuż Rio Grande oraz systemowy rasizm i policyjną przemoc na ulicach Ferguson (Missouri). Obnażał, w jaki sposób władze Flint (Michigan) ze względów oszczędnościowych próbowali zatuszować skażenie miejskich wodociągów śmiertelnie niebezpiecznym ołowiem, a skorumpowani urzędnicy w pobliskim Detroit wspierali miejscową mafię deweloperską (upadek swojego rodzinnego miasta LeDuff opisał szczegółowo w nagrodzonym Pulitzerem reportażu *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*<sup>3</sup>). Przemierzywszy prawie pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, ekipa reportera poznała ludzi wyrzuconych z pracy, z własnych domów, a przede wszystkim – z rzeczywistości elit polityczno-medialnych. Ludzi, których socjolożka Arlie Russell Hochschild określa jako „obcych we własnym kraju”<sup>4</sup>.

Poza LeDuffem wysłuchiwała ich tylko urna wyborcza. To oni zagłosowali na „niepoprawnie politycznego” republikańskiego kandydata, który zapowiedział zaostrzenie prawa imigracyjnego, renegowację „niekorzystnych” umów handlowych, „znaczące” obniżenie podatków i obalenie wieloletniego układu „Bushowie – Clintonowie – media”. Trump był nie tyle odzwierciedleniem ich nienawiści, ile „reakcją na krzywdę doznaną od establishmentu, który nimi manipulował, nie pytał o zdanie albo zupełnie ich ignorował”. Dla LeDuffa aspirujący przywódca stał się przede wszystkim narzędziem medialnego spektaklu, który permanentnie odrywał wzrok od rzeczywistych problemów przyszłych wyborców – „cyрку informacyjnego” nadającego na żywo przez całą dobę. „Trump to była inna para kaloszy. Ilekroć kłamał, przesadzał, szydził, groził lub porównywał kolegę republikanina do pedofila, kapitanowie tonących statków medialnych obserwowali, jak rosną im statystyki kliknięć i oglądalności. Biznes to biznes. Statek płynął dalej. Postanowili więc zrobić z tego *Donald Trump Show*”.

Powiedzieć, że LeDuff obnaża ignorancję amerykańskich mediów, to jakby nic nie powiedzieć. Już od pierwszych stron autor, niczym astronomowie w filmie

3 Ch. LeDuff (2019). *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*, przeł. I. Noszczyk. Wołowiec.

4 A.R. Hochschild (2017). *Obcy we własnym kraju. Gniew i żal amerykańskiej prawnicy*, przeł. H. Pustuła. Warszawa.

McKaya, ukazuje, że zamiast skupić się na realnych problemach, dziennikarskie elity są pochłonięte własnymi interesami, zamiast pochylić się nad najsłabszymi, poklepują po plechach najsilniejszych. Opisując tytułowe *shitshow*, reporter podkreśla, że lubujący się w niebieskiej scenografii („niebieski, bez względu na odcień, emanuje godnością, autorytetem i władzą”) medialni notable sprawiają wrażenie, jakby nie mieli pojęcia o rozmiarach konfliktu targającego amerykańskim społeczeństwem. Zamiast pokazać życie rodaków od podszewki, przyznają sobie nagrody i organizują bale w Waszyngtonie, podczas których przedstawiają swoje ustalenia wpływowym przedstawicielom show-biznesu. Potem, w ramach odwzajemnionej przysługi, występują w filmach i serialach, w których grając samych siebie, relacjonują fikcyjne historie, a byli politykierzy pojawiają się w programach informacyjnych, pozując na niezależnych analityków. Pod maską obrońców standardów i wolności nie tropią kłamstw, a nietropione kłamstwa w końcu stają się (post)prawdą. Według LeDuffa nie ma bardziej powierzchownej formy dziennikarstwa niż wiadomości telewizyjne. „Hunter Thompson opisał je pięćdziesiąt lat temu jako długi, plastikowy korytarz, po którym biegają swobodnie złodzieje i alfonsi, a dobrzy ludzie idą na śmierć. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że poza twarzami na ekranie niewiele się od tego czasu zmieniło” – przyznaje reporter.

LeDuff pozostaje pod niewątpliwym wpływem pioniera nowego dziennikarstwa i spopularyzowanego przez niego stylu gonzo. Fabrykując legitymację prasową, którą posługiwał się w czasie całej podróży, wprawiając w konsternację mieszkańców Detroit, kiedy w wyborach naprzeciwko demokratycznego nominata Mike’a Duggana stanął wypromowany przez niego przypadkowy fryzjer Mike Dugeon, czy schlebiając ubiegającemu się o fotel prezydenta Trumpowi, któremu zaproponował swoją kandydaturę na urząd wiceprezydenta, autor *Shitshow!* dystansuje się od swoich kolegów po fachu i prowokacyjnie manifestuje własną niezależność. „Nie jestem kolaborantem, nie jestem skamlącym psem na pasku korporacji. Nie jestem narzędziem, organem ani tubą klasy rządzącej. Nie chodzę z nimi na wódkę, nie wyjeżdżam z nimi na wakacje, nie bywam w Białym Domu na obiadach dla korespondentów. Bliskość władzy nic dla mnie nie znaczy. Nawet nie mówię o sobie «dziennikarz». Reporter, i tyle” – przyznaje w swoim stylu. I podkreśla, że do uprawiania dziennikarstwa w dwudziestym pierwszym wieku nie wystarczają rozum i odwaga – potrzebne są także „styl i prezentacja, hiperbola i humor, ostentacja i oburzenie. A przede wszystkim potrzebna jest rzetelność”. To z ich pomocą obnaża to, co w polityce najgorsze – korupcję, bezczelność, oderwanie od rzeczywistości i bezkarność. Wśród polityków, politykierów i medialnych wyjadaczy.

Wspominając wieczór wyborczy w listopadzie 2016 roku, LeDuff zwraca uwagę, że z każdą kolejną godziną na twarzach prowadzących i komentatorów malowała się coraz większa groza. „Docierało do nich, że kraj, o którym dyskutowali w swoich relacjach, istniał tylko w ich wyobraźni, a ten prawdziwy jest zupełnie inny”. Ten prawdziwy od lat szeptał: „just look up” (choć może w tym wypadku bardziej uzasadnione byłoby odwrócenie wektora na „just look down”). Kometa uderzyła, jednak problemy tych, którzy jej wypatrywali, pozostały. Po przegranych wyborach w 2020 roku Donald Trump zdołał przekonać swoich zwolenników, że zostali (wraz

z nim) obrabowani z władzy i sprowokował ich do ataku na siedzibę parlamentu, w momencie gdy jego członkowie formalnie zatwierdzili wyniki głosowania. W tym czasie McKay kręcił swój film i jak podkreślał w jednym z wywiadów, miał wrażenie, że rzeczywistość wokół planu przerasta jego najśmielsze pomysły na scenariusz. Reżyser pozostawia widzów z poczuciem bezradności, podobnie jak LeDuff, który kończy swój reportaż słowami: „płyniemy ściekiem, a sceneria ani na chwile się nie zmienia. Bogaci mają bogactwa. Biedni mają dzieci. A prowadzący udaje oburzenie”. Nawet gdyby zamiast uczestniczyć w tym *shitshow*, wykrzyczał do kamer „just look up!” (a właściwie „down”), „istnieje ryzyko, że każdy będzie patrzył w zupełnie inną stronę, a wielu przekonywać będzie, że góra to tak naprawdę dół – i na odwrót”<sup>5</sup>.

Sławomir Doległo

 [orcid.org/0000-0003-0555-3272](https://orcid.org/0000-0003-0555-3272)

---

5 J. Majmurek (2022). Gdzie góra, gdzie dół? *Polityka*, nr 3, s. 20.

